

Łukasz Kamiński – historyk, wykładowca akademicki (dr), pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 2006–2009 wicedyrektor, a w latach 2009–2011 dyrektor Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej, w latach 2011–2015 prezes Instytutu Pamięci Narodowej. Autor wielu publikacji z historii oporu antykomunistycznego w Europie Środkowej, w tym: „Strajki robotnicze w Polsce w latach 1945–1948” (1999), „Młodzież w oporze społecznym 1944–1989” (2002), „Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948. Formy pozainstytucjonalnego, żywotowego oporu społecznego” (2004), „Wokół praskiej wiosny. Polska i Czechosłowacja w 1968 roku” (2004), współautor książek „Opór społeczny w Europie Środkowej w latach 1948–1953 na przykładzie Polski, NRD i Czechosłowacji” (2004), „Ponad granicami. Historia Solidarności Polsko-Czechosłowackiej” (2009).



Fot. Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

Nie jesteśmy zaszczepieni przeciwko totalitaryzmowi

z Łukaszem Kamińskim
rozmawia
Katarzyna Uczkiewicz

Dekret o stanie wojennym w znaczący sposób ograniczył prawa obywatelskie. w jaki sposób życie w cieniu dekretu zmieniło codzienność obywateli PRL?

Zmiana była dosyć radykalna, chociaż z drugiej strony można powiedzieć, że w dekrete zostały wprost zapisane pewne rzeczy, które i tak w PRL obowiązywały. Zakaz strajków czy zgromadzeń przecież obowiązywał prawie od samych początków Polski Ludowej, chociaż oficjalnie w żadnym dokumencie nie był zapisany. [Stan wojenny](#) był przede wszystkim szokiem po kilkunastu miesiącach wolności w zniewolonym kraju – tej przestrzeni wolności, jaką stworzyła „Solidarność” i towarzyszące jej ruchy społeczne. Po tym okresie, kiedy można było dyskutować i mówić otwarcie prawie wszystko, nagle wprowadza się zakaz zgromadzeń, zakaz protestów. Dla przeciętnego obywatela to musiało być szokiem choćby wprowadzenie ścisłych ograniczeń w przemieszczaniu się, ścisła kontrola korespondencji, co – oczywiście – nie było już wprowadzone dekretem, ale różnymi dodatkowymi, nieznanymi obywatelom aktami prawnymi. Szok był tym większy, że nie rozumiano samego pojęcia. Nie wiedziano, czym w ogóle jest [stan wojenny](#). To nie było życie w cieniu dekretu, bo – przypomnijmy – *Dekretu o stanie wojennym* tak naprawdę jeszcze nie było. W pierwszych dniach trwały jeszcze negocjacje, jego treść została zmieniona i opublikowany został dopiero 17 grudnia. Więc było to życie w cieniu stanu wojennego, który był znany jedynie z bardzo ogólnikowych obwieszczeń, czytanych częściowo przez radio, gdzie powtarzano się sformułowanie, że dany czyn jest zagrożony karą od iluś lat

więzienia, aż do kary śmierci włącznie. Widząc w dużych miastach czołgi na ulicach, ciężko było nie traktować tego poważnie. Często zapominamy, że na skutek nie tylko *Dekretu o stanie wojennym*, ale także wprowadzonego równocześnie *Dekretu o postępowaniach szczególnych* (wprowadzał on tryb doraźny w prokuraturach i sądach) grubo ponad dwadzieścia czynów było zagrożonych karą śmierci, w tym na przykład rozpowszechnianie fałszywych informacji drukiem. Oznaczało to, że karą śmierci było zagrożone wydrukowanie ulotki. Dopiero z czasem widać, że te represje nie były tak krwawe. Ale internowani w pierwszych dniach działalności „Solidarności” – jak dzisiaj wspominają – patrzyli tylko, w którą stronę ich wiozą, czy czasem nie na wschód. Niektórych z nich próbowano zastraszyć, grożąc wprost, że będą rozstrzelani. Myślę, że nie tylko oni mieli prawo uwierzyć, że oto wraca okres krwawego terroru.

Nawet w myśl ówczesnego prawa ocenia się Dekret o stanie wojennym i towarzyszące mu przepisy jako niekonstytucyjne.

To było wiadomo już w kilka godzin po wprowadzeniu stanu wojennego. Powstały wówczas pierwsze analizy wybitnych prawników, wskazujące, że stan wojenny jest bezprawny. Oczywiście, ówczesna władza po zaskakująco szybkim, także dla niej samej, spacyfikowaniu protestów mogła się takimi opiniami nie przejmować. Dopiero w tym r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że stan wojenny był w sposób rażący niezgodny nawet z ówczesnie obowiązującym prawem, nie wspominając już o ogólnych normach prawnych, które są przyjęte w cywilizowanym świecie.

Ograniczenia wprowadzone nie tylko z mocy dekretu, ale szczególnie w przepisach wykonawczych, skutkowały kuriozalnymi niekiedy sytuacjami.

Ograniczenia te obejmowały najróżniejsze dziedziny życia społecznego. Gdzieś w zbiorach rodzinnych posiadam na przykład przepustkę wydaną w celu przewiezienia kołdry. Takie dokumenty rzeczywiście dzisiaj mogą, szczególnie młodym ludziom, wydawać się kuriozalne, a nawet zabawne, ale stan wojenny niewątpliwie zabawny nie był. Wówczas wszystko to wyglądało dużo bardziej dramatycznie.

Ograniczenia stanu wojennego sprawiły, że wytworzyły się nowe, nieznane dotąd formy życia społecznego, formy komunikacji. Na ile te zjawiska były kontrolowane i monitorowane przez służby PRL?

Po Sierpniu '80 r. pojawiła się w Polsce nowa jakość – masowy ruch społeczny. Służba Bezpieczeństwa znalazła się w zupełnie nowej sytuacji, niespodziewanej i zaskakującej. Do tej pory – do Sierpnia – SB miała do czynienia z kilku tysiącami opozycjonistów, „pótopozycjonistów”, „ćwiercopolozycjonistów”. Było to zjawisko, które udawało się w jakiś sposób monitorować i kontrolować. Władze wiedziały, kto jest – z ich punktu widzenia – groźny, a kto mniej groźny. Natomiast kiedy pojawił się ogromny ruch społeczny, nie można było przewidzieć, kto będzie w nim ważną postacią. Często było tak, że lider strajku w Sierpniu '80 r. później w samym związku już żadnej wielkiej roli nie odgrywał. Nowi liderzy rodzili się na pniu, ujawnili się całe środowiska, o których niewiele było wiadomo, okazywało się, że SB nie ma żadnego rozeznania, agentury, trzeba było to na chybcika próbować łątać. Z punktu widzenia władz wprowadzenie stanu wojennego nie poprawiło znacząco tej sytuacji. Oczywiście, ograniczyło liczebność opozycji: zamiast milionów były dziesiątki tysięcy, w pierwszym okresie może kilkaset tysięcy ludzi, którzy starali się w sposób mniej lub bardziej otwarty stawiać opór, ale z drugiej strony zaczęła się rodzić konspiracja, która z natury rzeczy jest trudniejsza do penetracji. Służba Bezpieczeństwa w okresie stanu wojennego *sensu stricte*, czyli do 1983 r., skupiona była przede wszystkim na próbach rozpracowania i początkowo likwidacji, a później zyskania jakiejś kontroli nad strukturami podziemnymi. W bardzo niewielkim stopniu poświęcono uwagę nowym zjawiskom, które budowały to, co dziś nazywamy społeczeństwem podziemnym – na przykład niezależnemu życiu kulturalnemu. Chociaż z czasem zaczęto tego rodzaju aktywność monitorować, to władze nigdy nie były w stanie zapanować nad tymi zjawiskami na tyle, by je zlikwidować lub kontrolować, choćby z formalnego punktu widzenia. Sam podziemny ruch wydawniczy był tak szeroki, że rozpracowaniem objęto mniej niż połowę wszystkich tytułów. Władzom brakowało siły, żeby choćby podjąć próbę sprawowania kontroli nad wszystkimi. Wiele z tych zjawisk umykało uwadze państwa.





Wspominał Pan o sprzeciwie obywateli wobec stanu wojennego. Na Ziemiach Zachodnich było kilka ognisk sprzeciwu; najważniejsze to Twierdza Wrocław. Czy na Ziemiach Zachodnich, gdzie większość ludności była napływowa, społeczność reagowała inaczej niż w tradycyjnych, osiadłych społecznościach? Czy sposoby działania i liczebność opozycji były inne?

Trudno znaleźć jakąś regułę. W ramach historycznego podziatu na ziemie dawne i nowe nie mamy wewnętrznej zgodności. Nie jest tak, że podziemie – powiedzmy we Wrocławiu, w Szczecinie i w Olsztynie – miało na tyle dużo cech wspólnych, żeby można je było – jako całość – porównywać z podziemiem w Łodzi, Lublinie i w Białymstoku. Moim zdaniem te historyczne uwarunkowania miały niewielkie znaczenie. Częściej decydowały takie przypadkowe elementy jak skala strat związkowych po 13 grudnia, zwłaszcza to, czy część liderów – jak w przypadku Wrocławia – zdołała uniknąć aresztowania, dzięki czemu stawali się symbolami oporu, co zawsze było dobrym czynnikiem mobilizującym. Istotne było, czy przetrwały jakieś struktury, które powstały w trakcie strajku, czy zdołały zejść do podziemia, jakie było zaplecze techniczne – nie tylko finansowe, co [we Wrocławiu](#), oczywiście, jest wielką legendą. Pieniądże zresztą łatwo było znaleźć. Ofiarność ludzi w pierwszych miesiącach stanu wojennego była gigantyczna, ale pieniądze na nic się zdały, jeśli nie było zdatnego do użytku powielacza, albo przynajmniej kogoś, kto by wiedział, jak go skonstruować i obsługiwać.

Na ile – Pana zdaniem – doświadczenie poprzednich pokoleń opozycjonistów, tradycja kresowa, akowska, WiN, rok 1968 (zarówno marzec, jak i sprzeciw wobec inwazji na Czechosłowację) wpłynęły na postawy obywateli, na sposób działania opozycjonistów lat osiemdziesiątych?

W tej kwestii cały czas poruszamy się w obszarze hipotez. Moim zdaniem, jeśli by szukać jakichś różnic między, powiedzmy Lubelszczyzną, Białostocczyzną, a na przykład Dolnym Śląskiem, to dotyczą one raczej postaw społeczeństwa w latach czterdziestych i pięćdziesiątych: na ziemiach dawnych istnienie nienaruszonych struktur społecznych sprzyjało wówczas postawom oporu wobec władz, a na Ziemiach Zachodnich ten opór był słabszy, co mogło być związane ze społeczną



atomizacją. W latach osiemdziesiątych to wyjaśnienie jest już całkowicie nieaktualne. Można szukać innych hipotez. Ja bym postawił dwie. Pierwsza jest taka, iż stosunkowo słabszy opór, zwłaszcza na prowincji, na Lubelszczyźnie i białostocko-
czyźnie był związany z pamięcią o latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Ludzie tam doskonale pamiętali, choćby z opowieści rodziców i dziadków, co to jest terror władzy komunistycznej. Myślę, że skala przerażenia społecznego była wielka. Ale tę hipotezę trzeba by pogłębić i zbadać. Z drugiej strony – i tego będą bronił, jeśli chodzi o Wrocław i w mniejszym stopniu o Dolny Śląsk – po niecałych czterdziestu latach od zakończenia II wojny światowej, zróżnicowanie społeczne Wrocławia stało się siłą. W latach powojennych nie było tutaj żadnej dominującej grupy, żadna z grup, jeżeli chodzi o pochodzenie geograficzne, nie przekraczała w genezie tej nowej społeczności 10 procent. Choć to bardzo daleka analogia można by mieszkańców Dolnego Śląska i ziem zachodnich porównać ze społecznością Dzikiego Zachodu, gdzie przyjechali ludzie bardziej aktywni, bardziej kreatywni. Myślę, że zróżnicowanie tej społeczności, a także jej „pionierski” charakter są przyczyną fenomenu bardzo silnego oporu we Wrocławiu przez całą dekadę lat osiemdziesiątych.



We Wrocławiu odbyła się największa w stanie wojennym demonstracja (31 sierpnia 1982 r.), działały niezależne media, kwitło życie kulturalne, pręźnie rozwijał się ruch wydawniczy. Świadkowie i uczestnicy tamtych wydarzeń mówią, że dopiero w latach osiemdziesiątych poczuli się w obcym dotychczas mieście jak u siebie. Włączenie się w bieg wydarzeń o ogólnopolskim znaczeniu pomogło im określić się jako społeczność i pokonać poczucie obcości. Tymczasem współczesne badania socjologiczne wskazują, że tamto doświadczenie nie przetrwało w świadomości mieszkańców jako mit założycielski czy doświadczenie pokoleniowe (jako takie są wskazywane powódź 1997 r. czy rekonstrukcja wrocławskiego Rynku). Na ile można powiedzieć, że wydarzenia lat osiemdziesiątych ukształtowały czy scaliły lokalną społeczność?

Moim zdaniem ruch opozycyjny lat osiemdziesiątych we Wrocławiu był najsilniejszym doświadczeniem jednoczącym mieszkańców. I tu pojawia się pytanie o jego trwałość.





Badania socjologiczne ukazują nam obecny stan świadomości mieszkańców. Myślę, że świadomość znaczenia wydarzeń lat osiemdziesiątych, poczucie, że był to okres kształtowania się wspólnej, tożsamości przetrwały wśród elit miasta. To doświadczenie stało się udziałem ludzi nie tylko wywodzących się z różnych stron Polski, z różnym doświadczeniem, ale także należących do różnych pokoleń. Wszystkie wcześniejsze wydarzenia dotyczyły albo pewnych grup, albo były doświadczeniami tylko jednego pokolenia, albo wręcz jego części. Marzec '68 był doświadczeniem bardzo ściśle pokoleniowym, co więcej, nie dotyczył całego pokolenia, lecz jedynie jego części. Tymczasem, nawet jeżeli ktoś się aktywnie nie zaangażował we wrocławski ruch opozycyjny lat osiemdziesiątych, to i tak wszystko, co tu się działo, było jego doświadczeniem, jako obserwatora chociażby. Nie można było żyć we Wrocławiu i całkowicie odizolować się od tej rzeczywistości, bo ta rzeczywistość pukała do drzwi. Wydaje mi się, że to jest w pewnym stopniu zmarnowana szansa. W zbyt małym do tej pory stopniu podejmowano wysiłek, aby czerpać z tego doświadczenia jako doświadczenia konstytuującego społeczność wrocławską. Oczywiście, dziś miasto się zmienia, ma co najmniej kilkadziesiąt – sto tysięcy nowych mieszkańców, którzy już nie pamiętają lat osiemdziesiątych i także ich rodzice tego doświadczenia im nie przełożą, bo przyjechali do miasta w ostatnich dwudziestu latach. Jednak dobrze by było, gdybyśmy próbowali wrócić do tego moim zdaniem jedyne tak powszechnego i wszechogarniającego doświadczenia, które łączy zdecydowaną większość.

Dlaczego to doświadczenie zostało wymazane czy zapomniane?
Myślę, że po 1989 r. przedstawicielom elit wydawało się naturalne, że pamięć o ruchu opozycyjnym będzie trwać, bo jego znaczenie dla przemian demokratycznych wydawało się oczywiste. Być może więc uznano, że nie warto nic robić, by to doświadczenie utrwalić. Ta sytuacja dotyczy nie tylko Wrocławia. W skali kraju wydawało się, że o okresie „Solidarności”, całej dekadzie lat osiemdziesiątych wiemy już wszystko i nie trzeba temu poświęcać specjalnej uwagi. Z drugiej strony rola, jaką „Solidarność” odegrała w historii Europy Środkowo-Wschodniej wydawała się niekwestionowana, więc

nie było sensu tego jakoś specjalnie uwypuklać, pogłębiać. Efekt jest taki, że dzisiaj, po dwudziestu latach od upadku systemu, na Zachodzie czasem ktoś ze starszego pokolenia przypomni sobie, że faktycznie, jakaś „Solidarność”, jakiś Wałęsa, coś tam było. Natomiast z powszechnej świadomości te zjawiska znikły.

Zapominaniu ma przeciwdziałać powołana w Pradze Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia, z polskiej strony jej instytucjami – założycielami są Instytut Pamięci Narodowej i Muzeum Powstania Warszawskiego. Jakie są cele tego projektu?

Zadania Platformy Europejskiej Pamięci i Sumienia są jeszcze bardziej ambitne, wykraczają poza perspektywę polską. Do jej powołania przygotowaliśmy się kilka lat. U źródeł tej inicjatywy była silnie obecna w nowych krajach członkowskich Unii Europejskiej – zarówno tych przyjętych w 2004, jak i w 2007 r. z Europy Środkowo-Wschodniej – chęć zrównoważenia europejskiej pamięci. W Europie Zachodniej perspektywa historyczna jest zdominowana przez pamięć o totalitaryzmie nazistowskim, bez elementu pamięci o zbrodniach totalitaryzmu komunistycznego. Ponadto nasza diagnoza obecnego stanu wiedzy historycznej jest taka, że świadomość dramatu II wojny światowej, Zagłady, skutków okupacji niemieckiej w różnych krajach Europy także już zanika i trzeba wiele zrobić dla przywrócenia pamięci w ogóle, a szczególnie dla zrównoważonej pamięci o ofiarach systemów totalitarnych. To wydaje się fundamentalnym zadaniem na przyszłość, nim nastąpi zbiorowa amnezja i to doświadczenie zostanie pущzone w niepamięć. Skutki mogłyby być moim zdaniem dramatyczne.

Wydaje się, że kwestia ofiar terroru totalitarnego w Europie przestaje być tematem interesującym – nawet w tych krajach, które najbardziej go doświadczyły. Zamiast tego mamy do czynienia z dyskursem „wielu prawd” historycznych, z subiektywizmem, z dominacją kategorii pamięci indywidualnej nad zobiektywizowaną historią, z problematyzowaniem kategorii ofiar, bohaterów i katów. Dlaczego tak się dzieje?

Z pewnością jest to naturalny bieg rzeczy. W miarę jak w populacji zmniejsza się odsetek osób, które same doświadczyły chociażby w niewielkim stopniu rzeczywistości totalitarnej,

temat ten przestaje być nośny społecznie. Ale myślę, że w najbliższych latach nastąpi ponowne „odkrycie” tematyki związanej ze zbrodniami reżimów totalitarnych. Bo z drugiej strony im więcej czasu upływa od okresu, w którym popełniono zbrodnie, o których w tej chwili mówimy, tym bardziej stają się one szokujące i niezrozumiałe. To może zabrzmieć okrutnie, ale dla pokolenia II wojny światowej, zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej, zło, przemoc, totalitaryzm były doświadczeniami codziennymi, powszednimi. Natomiast już dziś, zwłaszcza dla pokolenia urodzonego po 1989 r., które nie pamięta realiów życia w niedemokratycznym państwie, jest to trudne do zrozumienia. To często budzi zaciekawienie. Myślę, że czeka nas w najbliższych latach renesans zainteresowania jedną z najbardziej dramatycznych epok w dziejach ludzkości. Trzeba się do tego przygotować tak, by tamto doświadczenie stało się fundamentem myślenia o przyszłości.

*Pamięć o totalitaryzmie, po pierwsze, wynika ze społecznej potrzeby sprawiedliwości. Po drugie, ma przestrzegać przed powtórką. Tymczasem, jak Pan wspomniał, dla kolejnych pokoleń to doświadczenie staje się coraz bardziej niezrozumiałe i odległe. Dostyc często słyszy się dziś głosy, że dyskurs władzy, polityki i kultury tak bardzo się zmienił, że tamte doświadczenia są już nieprzydatne jako memento. W wielu środowiskach nadal utrzymuje się wiara, że żyjemy w epoce końca historii, więc minione doświadczenie jest nieadekwatne do nowej cywilizacji, która się dziś wykluwa. Na ile takie twierdzenie jest uprawnione? Ł.K.: Nie mogę zgodzić się z takim rozumowaniem. Warto pamiętać, że masowe zbrodnie XX w. były możliwe dzięki nowoczesnym technologiom. Wyobraźmy sobie zawsze możliwą sytuację, w której doszłoby do restauracji albo stworzenia całkiem nowego systemu totalitarnego. Skok technologiczny, jaki obserwujemy w ostatnich kilkudziesięciu latach, umożliwiłby niewyobrażalną skalę zbrodni, a także kontroli nad społeczeństwem. Żaden z dwudziestowiecznych totalitaryzmów nie zbliżył się pod tym względem do „ideału” opisanego w *Roku 1984* Orwella. W tej chwili przy obecnym zaawansowaniu techniki można to sobie spokojnie wyobrazić. Nie jesteśmy zaszczerpieni przeciwko totalitaryzmowi. Co więcej, taki przyszły totalitaryzm mógłby przybrać jeszcze gorszą formę*

niż te XX-wieczne. Tym ważniejsze są nasze działania dziś. Moim zdaniem obecnie nie żyjemy w okresie końca historii, ale raczej w okresie przejścia do nowych form życia społecznego, chociaż też nie przeceniałbym takich diagnoz. Jako historyk wielokrotnie czytałem różne prognozy z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych XX w., opisujące, jak będzie wyglądał świat około r. dwutysięcznego. Mają one niewiele wspólnego z rzeczywistością. Z punktu widzenia takich instytucji, jak Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” czy te zrzeszone w Platformie, ważne jest to, że dziś jeszcze żyją świadkowie dwudziestowiecznych totalitaryzmów. Dlatego nasza działalność, zwłaszcza w wymiarze edukacyjnym, jest tak ważna. Jeżeli zdotamy połączyć tych świadków z najmłodszym pokoleniem, które wzrasta już w nowym świecie, w świecie nowych technologii, zmieniających się form komunikacji społecznej, to można mieć nadzieję, że chociaż niewielka grupa tych młodych ludzi przejmie to doświadczenie. A jest to możliwe. Dowodzi tego wiele projektów edukacyjnych, które realizujemy, często we współpracy z innymi podmiotami. Widzimy, że młodzi ludzie wcale nie są na te tematy „impregnowani”. Przeciwnie – są otwarci. Możliwość rozmowy z więźniarką Ravensbruck, z więźniem Gułagu, z partyzantem z okresu wojny czy powojennego sprawia, że oni pośrednio tego doświadczają. Przeżywają to emocjonalnie, nie tylko intelektualnie. Kolejne pokolenia już nie będą miały takiej możliwości. Będą tylko mogły uczyć się o tym z podręczników. Natomiast to pokolenie może jeszcze za pośrednictwem świadków przejąć trochę ich doświadczenia i przenieść je głęboko w wiek XXI. Forma spotkania, przeżycia, poznania żywych jeszcze emocji, a nie emocji zapośredniczonych, to jest polisa na przyszłość. Tego typu edukacja jest jednym z naszych głównych zadań. Zakłada, że będzie jakaś grupa młodych ludzi, którzy jeszcze przez kilkadziesiąt lat będą pamiętać o tych spotkaniach i będą potrafili połączyć doświadczenie potowy XX wieku z nieznaną, odległą przyszłością.

